

Tajemnice wielkiego świata.

POWIEŚĆ.

Napisał Czesław Radomski.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

9

(Ciąg dalszy).

— Mój dobry Protazy, chciej wierzyć, że czuję się prawie zdrowym, że jestem zupełnie spokojny, więc słuchać mogę... Przysięgam ci, że sam mówić nie będę... ty jednak musisz mi opowiedzieć wszystko...

— No, no! wszak i Marczak rzekł, że opowiadać mogę... ino nie wiem, skąd zacząć. Czy panicz chce, żebym rozpoczął od owego strasznego wieczora, co to?...

— Tak, tak... od owego wieczora...

— Widzi panicz, ja już oddawna kłopotalem się paniczem i byłem o niego bardzo niespokojny. Mówiłem sobie: ta łódka, to pływanie rankami jeszcze przed świtem, to coś znaczy, a może i nie-dobrze znaczy, bo nad Wisłą mieszkają i włóczą się różne podłe ludzie. Czasem i na samej Wiśle także się tacy trafiają... więc myśląc to sobie najmowałem też kiedy niekiedy łódeczkę u znajomego rybaka i ruszałem z daleka... z daleka za paniczem. Nie podpływałem aż do miejsca, w którym łódź pańska się zatrzymywała, ino przybijałem do wysokiego, urwistego brzegu, trochę poniżej, za kępą wikliny, która mnie ukrywała doskonale... Aż tu raz przed północą powiada panicz do mnie: „Popłynę na Saską Kępę“. Et! myślę sobie, to nie na Kępę, ino na pewno, jak zwykle do Sielanki...

— Ale nic nie powiedziałeś nikomu? — zapytał Zygmunt przerażony.

— Nic, nic... Wszakże panicz mi tak kazał, gdy go zabierałem z pod muru...

— Leżałem pod murem?

— Proszę nie gadać! Niech panicz będzie cicho!... Przeczynałem niebezpieczeństwo, ale człowiek chociaż już niemłody, zawsze jeszcze głupi. Ukryłem się za daleko, o tysiąc przeszło kroków od ogrodu i dworu. Mówiłem w duchu sobie: „Byłoby go nie złapał na gorącym uczynku jaki mąż zazdrosny“.

— Tak, tak... to był mąż zazdrosny — przerwał Zygmunt, ciesząc się, że może Protazego w błąd wprowadzić i ukryć przed nim prawdę.

— Cokolwiek bądź straszny niepokój ścisnął mi nagle serce w piersiach, więc cichutko podpływałem, podpływałem... i widzę, że panicz leży na drodze, po której chodzą zwykle ci, co holują berlinki i galary. Ja, stare, głuche bydle, nie słyszałem ani wrzawy żadnej, ani szczeku broni. W pierwszej chwili chciałem wołać o pomoc, wnet jednak zastanowiłem się, że nie trzeba, bo z takiego dworu, po tem co się tam stało, pomocy spodziewać się nie mogę... Tymczasem panicz odzyskiwał po trochu przytomność i szeptał: „Zabierz z sobą... Chcę umrzeć u siebie... Powiedz, że mnie znalazłeś w łodzi, ale nie tu... ino pod Saską Kępą... bo niema nikt wiedzieć, że tu...“ No i zemdląłeś. Wtedy przeniosłem cię do twojej łodzi, do której uczepiłem moją. Gdy zaś z niemałym trudem dobiłem do brzegu na Pradze niespostrzeżony przez nikogo, poszedłem do znajomych rybaków, mieszkających opodal i przy ich pomocy przeniosłem cię tutaj.

— A policja... czy dowiedziała się zaraz?

— Pojmuje panicz, że takiej rzeczy w sekrecie utrzymać się nie da. Zaledwie wysłałem kucharke po lekarza z przeciwka, a już komisarz się zjawił. Na szczęście byłem jedynym świadkiem, bo jaśnie oświecona babcia, która całą noc spała, nie mogła nawet przecie wiedzieć, kiedy panicz i ja wyszliśmy z domu. Co prawda miałem wielką ochotę wyznać prawdę, bo to... bo to pchnięcie w piersi można oberwać ucziwie w pojedynku... ale ta rana z tyłu, to podłość, gałgąństwo, szelmostwo!

— Chciej wierzyć mój Protazy, że zasłużyłem na nią. Lecz co powiedziałeś policji, a później sądziemu?

— Domyśliłem się, czego panicz tam pod murem żądał odemnie, więc skomponowałem historię o włóczęgach, o nożownikach. Powiedziałem, że opaniczek przelazł się jego nieobecnością, poszedłem nad Wisłę i znalazłem cię leżącego w łodzi bez zmysłów, zbroczonego krwią, że prawdopodobnie nicponie-zbójcy napadli na cię, gdy przybijałeś do brzegu...

— Wybornie mój stary.

— Zaczęli mnie wybadywać, czy panicz przypadkiem niema jakich nieprzyjaciół. Odpowiedziałem, że nie wiem... A ponieważ księżna pani nie mogła im nic wcale wytłumaczyć, mnie zaś zaudto zmęczyli podstępnie prowadzonym śledztwem, wziąłem dorożkę i machnąłem po doktora Michała Marczaka, bo myślałem sobie: przedewszystkiem on jeden może panicza od śmierci uchronić, a przytem przepędzi tę całą zgraję ciekawskich, którym nie chodzi o sprawiedliwość, ino o popisanie się przed władzą swoim wędem i pokazanie, że to oni zbrodnię odkryli.

Protazy zaniósł się głośnym śmiechem.

— Żeby panicz był widział, jak ich Marczak z miejsca odprawiał. tobyś się tak uśmieł, jak ja się teraz śmieję. Żaden z nich aż do dzisiejszego ranka nosa tu nie wściubił, bo Marczakowi nikt sprzeciwić się nie śmie. Już ma coś takiego w sobie, że ludzie go się bardzo boją i słuchają jak trusie.

— Lecz dzienniki... Co pisały dzienniki? Nie wiesz? — pytał Zygmunt z widocznym niepokojem.

— Dam paniczowi i dzienniki, bo doktor kazał je schować.

To mówiąc przyniósł paczkę gazet, w których chory znalazł znane nam dwie notatki, nie określające wcale istoty faktu.

— A potem?

— Potem?... nic. Wszystko się już rzekło. Doktor, któremu powtórzyłem słowa panicza, zajmował się całą sprawą dalej.

— Dobrze... bardzo dobrze — szeptał Zygmunt zadowolony, że równie stary sługa jak lekarz-przyjaciel odgadli czy przeczuli jego pragnienie uniknięcia wszelkiego skandalu. Dziękuję ci Protazy... bardzo dziękuję. Idź teraz wypocząć i nie wstęp ani chwili, że spać będę wybornie.

Objaśnienia eks-żołnierza uspokoiły go zupełnie. Odzyskał wrodzoną sobie równowagę moralną, która na osłabiony organizm wpłynęła równocześnie bardzo dodatnio. Gdy się rano obudził, uczuł, że gorączka go opuściła i że odzyskuje utracone siły.

— Gdyby mi nie chodziło o przekonanie was wszystkich, że jestem rozsądny i spełniam sumienie polecenia Michała, już dziś wstałbym zaraz z łóżka.

— Na miłość boską nie!... Proszę głupstw nie wygadywać! — zawołał Protazy przerażony myślą, że jego ukochany panicz gotów nieroztropnie zdrowie swoje na szwank narazić.

Na wargach Zygmunta pojawił się dawno niewidziany uśmiech.

Och, on będzie rozsądny i posłuszny... Spełni wszystko, co mu przyjaciel Marczak przepisze, aby wyzdrowieć jak najspieszniej, bo potrzebuje przecie zdrowia do przyszłej walki z rodziną Zofii. Odgadywał, co mogło dziać się w Sielance po owej nocy, w której usiłowano pozbyć go się raz na zawsze. Jak on — i Wielohradzcy prawdopodobnie starali się uniknąć skandalu... Z kłopotów rodzinnych nie zwierzyli się niezawodnie przedstawicielom sprawiedliwości... Co zaś do projektowanego małżeństwa z baronem Korfem wydawało mu się ono obecnie tak bardzo niemożliwym i nieprawdopodobnym, że w tym względzie nie chciał nawet zastanawiać się nad jakimkolwiek bądź przypuszczeniem. Zofia do niego należy... nie na świecie nie zdoła mu jej wydrzeć! Nie ulega wątpliwości, że musi być strasznie dreczoną przez ojca i brata... może nawet grożą jej zamknięciem w klasztorze.

Próżna to jednak groźba. Wkrótce on z łóżka powstanie i upomni się o swoje prawa. Po tem co się stało, ona ani chwili wahać się nie będzie.. Zaraz na jego wezwanie opuści dom rodzicielski. Przyszłość wydawała mu się tak pewną, że nie dziwiło go nawet, iż nie otrzymuje listów od ukochanej. Wszakże żyje w Sielance jak w więzieniu, oczekując na narzeczonego, który po zwycięstwie odniesionem nad śmiercią przybędzie ją wyzwolić. Pozbawiona wszelkiej swobody, poddana nieustannemu nadzorowi hrabiego i Karola, pisać do niego nie może. Gdyby nawet mogła, nie naraziłaby swojej korespondencji na przejęcie niezawodne.

Nadzieja i głęboka wiara w pomyślną przyszłość sprawiała, że Zygmunt czuł się coraz silniejszym. Już nazajutrz zaszła tak pomyślna zmiana w stanie jego zdrowia, że Marczak rzekł do niego z uśmiechem:

— No, gdyby urzędnicy sądowi przyszli cię nagabywać teraz, nie miałbym prawa wyrzucić ich za drzwi!

Lekka gorączka powróciła jeszcze wieczorem,

lecz dnia następnego znikła zupełnie. Zaczynała się już prawdziwa rekonwalescencya i ustały wszelkie niepokoje. Babka zagarnęła znowu Protazego na swoje wyłączne usługi. Z całą właściwą sobie naiwną lekkomyślnością powtarzała, że znosi ruinę majątkową z rzymskim stoicyzmem, że czyścić, jaki przechodzi na ziemi — zapewni jej niezawodnie królestwo niebieskie w życiu przyszłym. Zygmunt słuchał jej wynurzeń z uśmiechem, cieszył się bowiem, że księżna była wesółą i wolną od wszelkiej troski.

Staruszka jednak, chociaż myślała przedewszystkiem o swoich potrzebach, zajmowała się ciągle wnukiem. Starala się go bawić i rozrywać. Czytała mu nowelle naszych najmłodszych powieściopisarzy i komentowała je dowcipnie, szydząc z modnego modernizmu. Potem opowiadała różne stare historie z czasów swej młodości, a gdy go rozśmieszyła, radowała się tem niewymownie.

— Widzisz — mówiła uszczęśliwiona — i stara babcia na coś ci się jeszcze przydać nieraz może!

Za wspólnem porozumieniem z Marczakiem przyjął nareszcie Zygmunt: naprzód praskiego komisarza policji, następnie sędziego śledczego. Pierwszego zbył dość łatwo opowiadaniem mniej więcej podobnym do opowiadania Protazego. Z drugim rzeczą była nieco trudniejsza, ten bowiem — człowiek wykształcony, inteligentny i bywający niegdyś w petersburskim wielkim świecie — nie uwierzył w fantastyczną relację młodzieńca. Odgadł wewnętrzny niepokój Zygmunta; zauważył jego pomieszenie i nieudolne kłamstwo. Rozumiał jednakże, że z pewnością nie powie nic innego... Na co go zatem indagować dłużej, jeśli badanie nie doprowadzi do żadnego rezultatu? Na co poszukiwać wykonawcy niespełnionej zbrodni, jeśli jego ofiara wcale tego nie pragnie?... Dla sędziego było rzeczą pewną, że jakiś zazdrosny mąż zranił Zygmunta, złapawszy go na schadzce z żoną, a chociaż rana, zadana w plecy, świadczyła, że przeciwnik kochanka nie należał do ludzi uczciwych i szlachetnych, zraniony jednak nie wymieni jego nazwiska za nic w świecie, chodzi mu bowiem o honor kobiety. Sędzia więc pożegnał się z badanym bardzo uprzejmie; sprawę zaś dla braku dowodów umorzono.

Zygmunt po śledztwie miał przez dni parę gorączkę. Wkrótce jednak przyszedł do siebie i uspokoił się znowu. Rany goiły się, on zaś powracał do zwykłego trybu życia, chociaż dotąd nie uczęszczał do biura, na pracę bowiem w dusznym, miejskim lokalu doktor jeszcze nie pozwalał. Schodził zatem co ranka do ogródka, otaczającego dworek i pielęgnował kwiaty, rozwijające się pięknie pod jego pieczołowitą opieką. Sam wprowadził nie mógł ziemi kopać, ani dźwigać wielkiej, blaszanej konewki do polewania roślin, lecz księżna była dla wnuka wyrozumiałą niż przed chorobą, więc pozwalała mu kiedy niekiedy przywoływać Protazego do pomocy.

Pewnego poranku siedzieli oboje pod krzakiem wysokopiennej róży bengalskiej o rozłożystej koronie, rucającej szeroki cień naokoło. On dumiał, ona czytała poranny numer *Kuryera*. Nagle krzyknęła:

— Patrz-no, patrz! panna Wielohradzka wychodzi zamaż.

— Co mówisz babciu? — zapytał zdławionym głosem.

Księżna nie spostrzegła wzruszenia wnuka; przyłożyła do oczu ręczną sztyldkretową lornetkę i czytała głośno:

„Małżeństwo w wielkim świecie. Dziś wieczorem na Krakowskim - Przedmieściu, w kościele św. Józefa Oblubieńca, niegdyś PP. Wizytek, odbędzie się ślub barona Korfa, należącego równocześnie do arystokracji finansowej jak i rodowej, z panną Zofią hrabianką Wielohradzką, córką powszechnie znanego Mieczysława hrabiego Wielohradzkiego, jednego z naszych najsympatyczniejszych klubmanów“.

X.

Małżeństwo w wielkim świecie.

Zofia spełniła ofiarę tak, jak się wychyla kielich napełniony gorzkim lekarstwem, którego ani słup, ani za okno wyrzucić nie pozwalają. Zaraz po rozmowie z baronem Korfem powiedziała ojcu, aby oznaczył termin ślubu, bo ona z poddaniem się należnemu jego woli wyjdzie za człowieka, którego jej na męża przeznaczył. Hrabia, zapomniawszy o wielkopańskim szyku i o wszelkiem deco-